1845. Nr 1. ROK 4.
Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

NOWY ROK.

Nowy Rok bracia! z tym nowym rokiem
Kończąc rok zeszły, przejrzyjmy czas; —
Jak ten czas pędzi hucznym potokiem
I w drodze z sobą zabiera nas.

Spojrzyjmy w przeszłość, jak wiele trudu,
Aby dopędzić obecnych dni,
Ile łez i krwi i wojen ludu
Było potrzeba, nim weszli my.

My, praca wieków, bojów synowie
Znów bić się musim na łonie lat,
I kończyć w twardym hełmie na głowie
Wielką budowę — *duchowy świat!*

Po ojcach w spadku wzięliśmy żale
I tę bijącą po sercach krew,
Krew nas utrzyma w świętym zapale,
A zapał wznieci ognisty śpiew.

Więc Budownicy! duchem i ciałem
Pracujmy; ogień żarzy się w nas
Jak potok w górach, lećmy z zapałem
Aż w morzu szczęścia, zabijem *czas.*

Bo czas trwa tylko dla rzeczy zmiennych,
Dla nieba nie ma czasu i dni,
Jak nie ma nocy dla słońc promiennych,
Tak czas zasypia u Bożych drzwi.

Lecz by wpaść na ten ocean cudów
Potrzeba zgodnie rzucić się z gór,
Potrzeba świętéj miłości ludów
By doskonałość otrzymał twór.

Po tylu bojach, po tylu wiekach,
Stary przewodnik niech spocznie raz!
By mu sen twardy siadł na powiekach
Potrzeba tylko miłości w nas.

Więc w nowym roku, nie nowe wojny
Nie zwykły dziejom nadajmy tok,

Zdobądźmy *duchem* ten świat spokojny!
Niech w walce będzie ostatni rok

Ostatni, w walce o prawa ducha!
A potém niechaj brzmią dźwięki słów;
Niechaj je Anioł śpiéwa i słucha
I Niebo sobie zbuduje znów.

Niech pod sklepieniem stufarbnéj tęczy
Znów zapomniany akord zadźwięczy,
Zadźwięczy w świętych uniesień tok,
Na nieskończony Aniołów rok.

Lenartowicz.



FAUST

TRAJEDIJA GÖTHEGO.

Tłumaczenie z Niemieckiego Alfonsa Walickiego.

(PRZEGLĄD).

Najważniejszą dotychczas epokę w poezyi dziewiętnastego stulecia, wykazującą najjawniéj olbrzymi postęp sztuki i nieskończenie wyższą doskonałość, stanowi wcielenie w jéj żywioły żywiołu filozoficznego, czyli wyprowadzenie na jéj widownię nie wprost pieśniowego lub téż obrazowego przedmiotu, ale wzbogaconego całém doświadczeniem doskonalenia się umysłowości; łączącego w sobie nie tylko ogólne zarysy ducha czasu, w którym istnieje, ale badającego ile możności systematycznie przyczyny rozwoju tego ducha, zgłębiającego najszczegółowiéj jego pierwiastki ze stanowiska doświadczenia, więc Filozofii, przecież lśniącego całym urokiem fantazyi i natchnienia — więc sztuki. — Epokę tę musiał wyrodzić mijający właśnie badawczy wiek 18sty gdzie po szyderczym sceptycyzmie, zastraszającym materyalizmie, gienjalnych paradoxach, energiczna chęć dobicia się prawdy społecznéj okupiona została tysiącem ofiar — i zawodem.— Przestraszona ludzkość ale pobudzona do działalności, ze zgrozą spojrzała na materijalną przeszłość i drżąc pragnie gwałtem dla zrównoważenia podnieść z jednéj strony działalność ducha, wstąpić w jego tajniki,

choćby niekiedy z uszczerbkiem racjonalizmu; z drugiéj zaś przykryć ułomność i nagość swoję choćby maską form, choćby pozornym racijonalizmem. Bez wątpienia poezija powstająca w takim czasie rozdwojenia i skojarzenia, musi mieścić w sobie wszystkie pierwiastki tego czasu, objawiające się u niéj w idealizmie i badawczości. Jako idealna, wyśpiéwująca tajniki ducha jest podmiotową. Otóż główna jéj cecha *najrozciąglejsza podmiotowość*, różniąca ją zupełnie od niektórych poprzedzających ją epok, nad drugiémi zaś dająca niezaprzeczoną wyższość. Epoka poezyi nazywanéj klsssyczną poezyi Greckiéj, jest epoką form, jest uprzedmiotowaniem zmysłowém piękności; są to posągi, zadziwiające szlachetną prostotą i gienialném wykończeniem, posągi, co w marmurowych ale idealnie pięknych zmysłowo rysach wyrażają myśl swojego mistrza. Jestto epoka przedmiotowéj poezyi, wypływająca z przedmiotowéj mitologii. Ta sama prawie barwa, podniesiona tylko śpiéwnością i uczuciem tęsknoty cechuje poezję Walhalską i Ossianiczną, są to także posągi ale nie oświéca ich piękne słońce, którego wozem kieruje bóstwo piękności, niepodziwia udatny syn Hellady — tylko mgła smutna — wspaniałą obwiéwa je zasłoną i w szorstkiém odzieniu dumający syn północy wlepia w nie wilgotne spojrzenie, Epoka świetności poezyi Włoskiéj w bardzo małéj tylko części może być nazwaną podmiotową, są to prawie te same starożytne, klassyczne formy, zmodyfikowane wpływem Chrystjanizmu jeszcze niepojętego i nierozwiniętego w pieśni. Zastanowiwszy się bliżéj, przekonamy się, że we wszystkich dotychczas epokach poezyi, prócz Szekspirowskiéj i poezyi nieujętéj w formy właściwéj sztuki, to jest pieśni ludu, po większéj części przedmiotowy pierwiastek przemaga — czy to w Hiszpańskiéj, czy w dawniejszéj Niemieckiéj, czy w naśladowniczéj Francuzkiéj.

Poezije Ludu, jako śpiéw uczuć jego musiały i muszą być podmiotowe — ależ są to tylko śpiéwy — Hamlet, Machbeth, Król Lear i t. p. Szekspira, są bez wątpienia wyda-

tnémi podmiotowémi postaciami, lecz wszystkie ich ogniste marzenia, gorączkowe passowania się między niepojętą niepewnością a przeczuciem prawdy, między sceptycyzmem niepoparłym przez rozumowanie, a potrzebą wiary—nie mają świadomości o sobie. Szekspir był prawdziwym wieszczem, jedynie natchnienie, siła fantazji i przelotne spojrzenie w samego siebie wywoływało z pod jego pióra te pełne gienjalnych dziwactw i ognistych zarysów, epizody, którym do dziś dnia uwielbienie nasze składamy. Epoka więc, o któréj mowa, różni się i wyższą jest jako podmiotowa od wszystkich przedmiotowych, przewyższa zaś poprzednie podmiotowe świadomością, któréj tamtym brak. Już nie niepojęta niepewność, ale niepewność widoczna, nie przeczucie ale uczucie prawdy, sceptycyzm gorzkiém doświadczeniem okupiony i nie potrzeba ale pragnienie wiary przy racjonalizmie najwidoczniéj ją cechują. Jednym z największych utworów, w których się objawia dążność i właściwość epoki, jest bez wątpienia, filozoficzna tragedja Goethego Faust. Widzimy naprzód mędrca, co wyczerpawszy wszystkie prawie skarby nauki nie może jednak ostać w samém tylko naukowém życiu, w którém ognista jego dusza trawi się i męczy sama w sobie, przesycony już „błahością naszych mądrości”, nie chcąc dłużéj wodzić „uczniów swoich za nos”, pragnął gwałtem „poznać duszę świata”, zbadać pierwotną ożywczą jéj siłę: wczytuje się więc w magją, bada tę naukę, żeby z duchów ust dowiedziéć się tajemnic przyrody. Czując, że nowe wrażenia rozpłomienią jego duszę, że z odwagą zdoła rzucić się w odmęt świata i potrafi udźwignąć całe ziemi szczęście i niedole — wywołuje ducha ziemi. Ale zjawisko przejmuje go nagłą trwogą. Daremnie pragnie dotrwać potężnéj, wyższéj istocie, „jest tylko blizki duchów, których sam pojąć zdoła” ale nie potężnego ducha, w którym jak w ognisku zestrzelają się wszystkie duchowe promienie ludzkości. Zepchnięty ze szczytu błogiego uniesienia duszy, przez najcodzienniejszą i najnudniejszą rzeczywistość

famulusa swojego Wagnera, po odejściu jego, wraca znowu do marzeń, przesyt i czczość tém bardziéj zaczynają trapić rozdrażnioną duszę, co chciała równać się Duchowi— pogarda własnéj przeszłości coraz silniéj odzywa się w zbolałem sercu, wyobrażnia maluje przyszłość tak nikczemną, że pragnie nigdy jéj nieoglądać i przeciąć nudne pasmo dni swoich. Z odwagą i rezygnacją przytyka truciznę do ust — gdy nagle słychać dzwony i śpiéw, zwiastujący Zmartwychwstanie pańskie, śpiéw tak mu znany, tak przypominający ubiegłą młodość. Pod wpływem tych uroczych dźwięków, pomimo woli, odejmuje czarę od ust. chciałby się wzbić ku górnym strefom, skąd go te dźwięki dolatują—ale brak mu wiary w cud.

Pieśni jedynie przywołują go nazad do ziemi. Następnie dręczony potrzebą życia i użycia, Faust zawiéra przymierze ze złym duchem Mefistofelesem wyobrażającym rzeczywiste zmysłowe. pełne rozkoszy, odczarowania i szyderstwa życie. Wydaje mu cyrograf na swoję duszę, wnet mądrość, myśliwość i głębsze badanie ducha zaczyna mu niesmakować. Potém wypiwszy odmładzający elixir i lepiéj poznawszy swojego bezczelnie - szyderczego towarzysza — brzydzić się zaczyna wiecznie jedném i témże samém szyderstwem niedozwalającém mu żyć zupełnie pod wpływem tylko chęci i urojeń. Nudzi go samotność i nudzi wir, co mu tylko otumania mózg i rozsądek — a w pustém i głuchém sercu dokucza czczość i próżnia. Występuje teraz nadobna postać *Gretchen*, poezija rzeczywistego życia, odziana w całą piękność córek ziemi i całą niewinność dziecięcia. — Musiał koniecznie poeta postawić obok siebie dwie zupełnie różne, a jednak mające się wkrótce zbliżyć do siebie postacie. Przeżytego, przemarzonego Fausta, czującego gwałtowną, wyrozumowaną potrzebę życia, życia uczuciem, i świéży kwiat wiosenny, który promień słońca koniecznie do życia powoływa — Gretchen. Zaledwie ją Faust pokochał, zaledwie dziewczynę zupełnie zwyciężyło uczucie, już zdaje się o niéj zapominać,

porzuca ją, wszystko ziemskie wydaje mu się czczém — aż sam jowialny Mefistofeles, dla utrzymania swojéj roli i dojścia za pomocą na pozór ponętnych i dobrych środków do złego skutku — przypominać musi mu o kochance. Wtedy powraca do niéj, uwodzi ją i zabiwszy przez podstęp czarci Walentyna żołnierza brata jéj, pędzi z Mefistofelesem na Łysą górę, czyli rzuca się w odmęt namiętności. Rozpusta, fałszywa sława, kolejno przemijają, nareszcie wstręt go przejmuje w lubieżnych uściskach rozpustnéj piękności – jakaś blada, smutna dziewczyna — podobna jakby do Gretchen zjawia się jego spojrzeniu. Fantastyczne to widzenie przypomina mu biédną dziewczynę, którą porzucił; cały jéj piękny obraz, całe jéj oddanie się jemu — a teraz może nędza lub śmierć staje mu na pamięci i jak widmo trapi serce. Wracają z Łyséj góry, szlachetna dusza Fausta dowiedziawszy się o uwięzieniu i nędzy biédnéj dziewczyny, nie może przenieść tyle podstępu i chytrości ze strony czarta.

Z zapałem, życiem i mocą pokonywa niechęć i bezczelność Mefistofelesa, tak że ten zmuszony jest zaprowadzić go do Gretchen do więzienia — ale biédna obłąkana dzieciobójczyni niepoznaje go, myśli, że to kat, potém dopiéro dźwięk głosu ukochanego przyprowadza ją do zmysłów, Faust chce ją uprowadzić ale ta zatrzymuje go i nie chce się oddalić, czując że śmierć pogodzi ją samą z sobą — Faust waha się, Mefistofeles nagli. — Wstręt nagły, okropny dziewczyny — uduchownionéj przez łzy cierpienia, zamienia się w przestrach i zgrozę na widok czarta. — Faust nagli — miłość nagli — Mefistofeles nagli — życie woła — ale przestrach i nadzieja nieba zatrzymuje dziewczynę na miejscu — Potępiona! woła Mefistofeles. — Zbawiona! brzmi chór aniołów. Faust z Mefistofelesem wychodzą, słychać gasnący jeszcze wewnątrz głos biednéj obłąkanéj wołającéj Fausta po imieniu — jest to ostatni dźwięk pieśni uczucia. Na tém kończy się piérwsza część Fausta, któréj tłumaczenie obecnie

mamy przed oczyma. Widzimy jawnie jakie żywioły składają charakter Fausta — wyrozumowane powątpiewanie, potrzeba wiary ale niemoc uczucia jéj, — pojęcie uczucia i konieczna jego potrzeba, a niemoc trwania w tém uczuciu (Gretchen) — chęć do życia i do użycia, z czego wypływa toż samo co przedtém, powątpiewanie i przesyt (Mefistofeles) — Są to, sądzimy, części, co razem złączone, odpowiadają zupełnie typom filozoficznéj poetycznéj epoki, o któréj wspomnieliśmy wyżéj.

Wiadomo, gdzie szukać przyczyn tych pierwiastków: w duchu czasu i w dokładném poznaniu charakteru i usposobieniu samego autora, który znakomity uczony i największy artysta naszéj epoki, bez wątpienia lepiéj oddał się w Fauście, lepiéj sam siebie odmalował niż w swoich pamiętnikach. Znając już żywioł pomysłu czyli filozofii, idzie nam o wykazanie żywiołów formy, oddania, czyli sztuki. Drammat ten jako podmiotowy musi miéć koniecznie przemagający śpiéw — duch łatwiéj się wyśpiéwuje, niż maluje — przeważa więc w nim żywioł liryczny, przeważa dźwięczność i harmoniczność przy malowniczości obrazów. Jest to apoteoza sztuki gienialnego artysty; bez wątpienia większa liryka, większa śpiéwność od wszystkich gienjalnych utworów Mozarta, Webera i Beethovena.

Dając tak poznać czytelnikom wyobrażenie nasze o najznakomitszym dotychczas filozoficznym poemacie w literaturze niemieckiéj — wykazujemy tém samém jak wielką zasługę położył Pan Walicki w literaturze naszéj zupełnym przekładem Iszéj części Fausta. — O zaletach i uchybieniach tego przekładu, oraz innych tłumaczeń w naszym języku, szczegółowo, z najpilniejszą uwagą na oryginał, poniżéj powiémy.

(Dokończenie nastąpi.)

Włodzimierz. W.

BALE PUBLICZNE. (*)

Ostatni Wtorek w Wielkiéj Operze. Karnawałowa processya Ludu u rogatki la Villette zwanéj.

. . . . ab ipsis
Saturnalibus huc fugisti; sobrius ergo
Dic aliquid dignum promissis.

Horat Satira III.

Młodzieńcze! Gdy przypadkiem wpadnie ci w rękę jaki dziennik Paryzki, w którym wyczytasz następujące ogłoszenie: „Bal wielkiéj Opery—suta illuminacya—orkiestra ze 150 muzykantów pod dyrekcyą Muzarda" — (**) westchniesz może przenosząc się myślą w tę czarowną świątynię rozrzutności zmysłowéj, w któréj bal maskowy głosi hucznie strofy swéj olbrzymiéj dytyramby. Odbywa się on przy ulicy *Lepelletier* w salonach Wielkiéj Opery.

(*) Dwa rozdziały wyjęte z rękopismu p: t: *Studia fizyologiczne wielkich stolic zachodniéj Europy*. Nadpis wyimku tutaj zamieszczonego, jest: *Paryż w Grzechu.*

(**) Entreprener balów i dyrektor licznéj orkiestry.

To było tylko bezbarwne doniesienie; ale zdarzy ci się czasem przechodząc koło jakiego sklepu rycin, ujrzéć pyszną litografię wyobrażającą salę Wielkiéj Opery w całym blasku karnawałowym; albo jaką scenę zakulisową, dowcipnie swywolną, a idę o zakład że dąsać się będziesz na wielkich spekulantów Europejskich, którzy ci dotąd nie wybudowali kolei żelaznéj od Wolskich rogatek.... do rogatek *Panlin* (*). Fraszka to jeszcze! ale, czego Boże broń! przypuśćmy że natrafisz na jaki *feuilleton* po mistrzowsku napisany, w którym znajduje się sprawozdanie wesołego wieczoru przepędzonego w Wielkiéj Operze. O! natenczas tęskno ci będzie, czuć się będziesz upokorzonym, nieszczęśliwym, że niczém podobném nie możesz się pochwalić u siebie. Powiem ci jednak do ucha: wierz doniesieniu, wierz rycinie, ale niewierz feuilletonowi—on ci z ostu zrobi różę, z maszkary — Psychę — bo feuilleton jest w ścisłych stosunkach z kassą Wielkiéj Opery. On cię zachwyci dowcipem, eleganciją, stylem malowniczym — on ci okaże pochlebną fizyognomię balu — ale nie opowié ci duszy jego. Chcesz wiedziéć prawdę — czystą prawdę — będziesz ją miał. Feuilletonista względny — bo chléb piérwéj mu idzie na ząb, jak bezstronność pióra pod prassę. To wyrzekłszy proszę o chwilę posłuchania.

Zaczynam od ogłoszenia wszem i każdemu, że bilet wnijścia na bal Wielkiéj Opery kosztuje 15 fr. Dla nas Słowian wysoka cena towaru jest ponętą. Trafne to przysłowie: „*że co tanie to zgniłe — a co drogie to miłe.*” Kto płaci 15 fr. za fantazyę — ten loicznie biorąc rzeczy, zda się dość mocno opierać na kotwicy w życiu. Płacąc drogo za miejsce, człowiek pewny jest znaleść dobrane towarzystwo, a dobrane towarzystwo Paryzkie, to przecież nie to, co w Smorgonii.— Wnioskując tak jak ja, uczyniłbyś to samo, t: j: wciągnąłbyś

(*) Położone w stronie północnéj Paryża na drodze do Metz.

frak z warsztatu *Humana*, rękawiczki białe kupione pod arkadami ulicy *Castiglione*, bótynki werniksowane jak lustro, supeł u chustki malowniczo, chociaż niby niedbale zawiązany, i tak żurnalowo uzbrojony, chciwy romansowych przygód, dalej do bióra teatralnego drżąc ze strachu żeby cię tam nie poczęstowali lakoniczną odpowiedzią: „Nié ma już biletów." Ale nie: przecież los nie zawsze fantastyk! Nędzne twe 15 fr. raczyli przyjąć — bilet trzymasz w ręku i.... naprzód! Niech żyje Ostatni Wtorek!....

Ha! to mi sala, to mi rozmiary! Cudnie promienieje złotem i światłem, pełna kokieteryi i wykwintności. Ludwik XV któremu się przy końcu wszystko sprzykrzyło, i pani Dubarri, kobiéta popsuta zbytkiem, nicby lepszego nie wymyślili. Proszę sobie więc wystawić ten ogromny purpurowy buduar *rococo*, z medalionami, kupidynkami, girlandami, kampaniliami i t. d. a wszystko oblane jaskrawém światłem gazu. Loże w wielkim komplecie, a w lożach pełno domin.

Wyobraźnia zawsze obfita, stokrotnie i stokrotnie wycisnęła swe kaprysy na niezliczonych kostiumach, które Paryż przemysłowy sfastrzygował na prędce, dla jednéj nocy Ostatniego Wtorku. Posadzka mechaniczna, łącząca scenę z parterem, sformowała przestrzeń dla karnawałowéj zabawy, długą i szeroką jak plac musztry, jak hyppodrom. Publiczność w przerzadzonych gruppach przechadza się po sali w różnych kierunkach. Proszę się przysłuchać rozmowie tych Pań i Panów; pewnie nie budująca; bo to karnawał—wszystko wolno mówią Paryżanie: wolne czułe oświadczenia, żarciki, dwuznaczniki, mowy bez ogródek, czynne zaczepki nawet. Ale to dopiéro wstęp do godów; niezadługo *Pustota* z spojrzeniem figlarném, z zarumienioną twarzą żądzy, zabrzęczy swemi dzwoneczkami i tłum cały zelektryzowany, skok po skoku, wleci jak opętany na salę, gdzie się katedra Muzard'a wznosi. Jego batalion wirtuozów rozłożył już swój harmonijny arsenał i

za piérwszém skinieniem, ryknie. Większa połowa publiczności oddaliła się do *foyer*. Wstąpmy tam na chwilę.

Czarujący widok! Zbytek tu panem! Harpagon Moliera zemdlałby tutaj, a lichwiarz rzewnieby zapłakał nad tym martwym kapitałem, który pochłonęła pysznie udekurowana sala. Jam się gapił, a gapić się tu niebezpiecznie, bo można swą osobą zrobić wyłom w ścianie. Cóż dziwnego? z przodu, z boków, z tyłu, wszędzie tafle zwierciadlane. Idziesz, idziesz i zda się że granic nié ma. Ostrożnie! Zwolna więc naprzód! między tę ciżbę mianowaną przez nas dobraném towarzystwem z przyczyny certyfikatu nabytego w kassie za trzy sztuki pięciofrankowe. Kompania to wysokiego tonu — prawda; przeraźliwie wrzeszczą. Chaos mężczyzn i kobiét — zamęt głosów, wir kostiumów i masek. Aby coś schwycić w téj pstrokaciźnie, trzeba ją poddać pod ścisłą analizę wzroku i słuchu. Do mnie to należy....

Długom patrzył — długom śledził..... Już widziałem, już słyszałem: i cóż przecież? Oto powiem wam na samym wstępie, iż mnie niegodziwie oszukano za me 15 fr:! Pókim nie wszedł, summa ta była fraszką w stosunku do ciekawości jaką pałałem, ale przypatrzywszy się z blizka, aż mnie wstyd ogarnął, żem się znajdował w towarzystwie co nie buduarem trąciło, ale raczéj kawiarnią, i to lichą. A jam się wymuskał, wystroił jak na wesele. Dziwne ubiory! rzekł byś wprost z tandety. Co błyszczy na nich, to szych i folga, co nie błyszczy, to zmiętoszone, wytarte, wypłowiałe. Nie jedna ludzka forma wyściskała się pod temi rupeciami. Zdawało mi się że widzę przed sobą trupę aktorów wędrujących, z czasów *Idziego Blassa*. To nie tak jak u nas, gdzie płeć piękna sadzi się na toaletę, na dobór i wybór materyi i nieraz błyśnie nawet preciozami, nie bez myśli wstecznéj Kuryjerka, który nazajutrz wszystko to do potomności adresuje. Tylko trzeba tu uczynić pewne zeznanie, na które nie jeden z moich szanownych ziomków marsa zrobi, a to jest, żeśmy się

bawić jeszcze nie nauczyli. Ś. p. Aloizy Żółkowski, przemawiał kiedyś do powszechności Warszawskiéj językiem Momusa, ależ krotofilny ten bożek, nie tylko w ulotnych pisemkach już nas nie raczy bawić, ale nie ożywia ani swą formą zewnętrzną, ani swym humorem, właśnie w epoce w któréj poswywolić niéma grzéchu. *Np:* co do formy cała nasza gotowalnia maskaradowa składa się z przebrań, Krakowiaka, żyda, pustelnika, Turczyna, czarnoxiężnika, Krakowianki, Westalki (ta ostatnia pseudonim ma się rozumiéć) wróżki, cyganki i t. p. obrazków redutowych. Ta cecha jednostajnéj wyobraźni nie bardzo jest dla nas pochlebna. Powiedziałby kto, żeśmy się nie umieli przejąć duszą kodexu pohulanki karnawałowéj. Każden stara się z pewną pedanteryą o prawdę w kostiumie. Krakowiak nie daruje ani podkówki, ani krzesiwka, ani pawiego piórka—żyd jarmułki i pejsów. Gdyby Krakowiak włożył okulary na nos, albo łokciowy wypudrowany arcab — a żyd hełm rycerski, toby było śmiéchu dowoli — a właśnie Paryżanie są mistrzami w téj łataninie kostiumowéj. Dopiéro jakem się dobrze rozpatrzył w tym odmęcie wyzwoleńców bonifraterskich, dopiérom wtenczas zrozumiał, że ta lichota tandeciarska kryła w sobie myśl grotesku. Co się zaś tycze humoru, to bez upokorzenia możemy broń złożyć—bo gdzież nam iść w zapasy z temi miłemi szermierzami promienistéj wesołości i dowcipu.

W tym względzie wszystkie narody czołem przed niemi biją. My przychodzimy na salę redutową tchnąc wojną przeciw płci pięknéj w masce lub bez maski; rozdajemy damom poezyję karmelkową napisaną w domu; kreślimy im litery na dłoni; grozimy im palcem, wpiéramy w nie że je znamy; szepczem im do ucha Bóg wié co — może i rzeczy dowcipne, ale ponieważ nie objawione, a więc tyle warte co każde umysłowe incognito. Tę jałowość w przepędzeniu nocy maskaradowéj wynagradzamy sobie wprawdzie tańcem. Uformuje się koło mazura, same maski, jedna drugiéj obca, i jak się zeszły,

tak się rozeszły; a ponieważ język obosieczna broń, nikt go więc z pochwy nie wyjmował. Coś to trochę ślepą babkę przypomina — a śliczna to gra ślepa babka! Młodzi nasi biesiadnicy redutowi wystarczają sobie sami. Wieleż to Pierrotow, Krakowiaków, Arlekinów widzićć można samuteńkich jednych, wykrzywiających się, błaznujących, tańczących lub włóczących się z kąta w kąt, do białego dnia, wszystko tylko dla samych siebie — bo o ich obecności w sali nikt nie wié! Ale tam na balu Wielkiéj Opery, to ogromny fajerwerk dowcipu—wszystko się skrzy, pryska, płomieni! bo téż z tą mową mieniącą jak tęcza, i ustrojoną w dwuznaczniki, kto nie chce, dowcipem szafuje.

Tymczasem gdy tak gawędzę, ciżba staje się coraz gęstsza. Nigdym więcéj nie potrzebował usłużnego *cicerone* jak teraz. Czułem, żem się znajdował w jakemsiś podejrzaném towarzystwie, zwłaszcza kobiét — ale w piérwszych chwilach trudno mi je było uklassyfikować. Obawiałem się wyjechać wprost z zapytaniem żeby mi nieodpowiedziano pustym śmiéchem; — czekałem więc przybycia publiczności wyborowéj, którą spodziewałem się znaleść więcéj przystępną, ale ta coś dotąd była niewidzialną. Zbity zupełnie z tropu, tłukłem się jak Marek po piekle. Znużony, upojony prawie, wzdychałem do kącika, w którym bym się mógł usadowić. Wzdłuż ścian stały ławki pokryte amarantowym axamitem—cóż kiedy wszystkie zajęte! — przez kogo?..... przez same domina. Były to piérwsze maski które napotkałem, bo reszta bez masek. Jakem tylko je zoczył, wszelka wątpliwość znikła; tak, miałem przed sobą niezawodnie dobry ton Paryski. Domysły moje tyczące się 15 franków nie były więc płonne. Elegancya nie żurnalowa, przebijała się w toalecie tych dam, w guście, w ruchu, nawet w wachlowaniu, było coś, co zdradzało atmosferę złoconych buduarów. Tylko miejsca! przez litość miejsca! pragnąłem rozmowy, a przynajmniéj sąsiedztwa z te-

mi wybrankami.... Oto właśnie w téj chwili wakuje na ławce półtory stopy.... Jeden skok.... i jużem tam!

Przypadek zwykle wielki psotnik, tą razą, usłużył mi po bratersku nasyłając sąsiedztwo *del bono gusto* jak mówi Włoch. Było to proste czarne domino, ale sam tylko atłas, aksamit, koronki, ale chustka haftowana i garnirowana *en points de malines*, wartująca z 500 fr., ale rączka bieluchna, z uroczemi dołeczkami, z różowemi paznogcikami i szereg drogich pierścieni, migających swemi fasetkami na paluszkach, że aż oczy raziło. Wszystko to zdradzało jakiegoś emigranta arystokratycznego, spragnionego wrażeń balów maskowych. A cóż dopiéro jak to szczebiotać zaczęło! bo wyobraźcie sobie, (i nie wiem zkąd nabyłem tyle odwagi) wszakto ja barbarzyniec na słówkom ją wyciągnął, i ot mniéj więcéj com jéj powiedział, co mi ona rzekła, i com znowu odparł — niby formalna rozmowa.

Piérwsze monosylaby dosyć niezgrabnie mi poszły, bo téż między rzeczami bez liku, których się nigdy nauczyć nie mogłem, są dwie: tęperować pióro i rozpoczynać rozmowę. Wszelako dla miłości prawdy historycznéj jakem ją zestenografował w pamięci, taką przeléwam na papiér.

— *Ja.* O ile z pozoru sądzić można, uważam że Prawda chce się tu pod maską ukryć, a Fałsz czelnie swe lice okazuje.

— *Domino.* Czy znasz P. Leona Pillet?

— *Ja.* Znam. Główny Dyrektor *Akademii Królewskiéj Muzyki.*

— *Domino.* Niedomyślny to człowiek z tego dyrektora.

— *Ja.* Dla czego?

— *Domino.* Powinienby był dla podobnych tobie kazać wznieść ambonę?

I cichutki, cieniuchny śmieszek czarnego djabełka pokrył te słowa. Wstyd mi uszy sparzył — ale po cóż mi było wy-

jeżdżać z tym moralizująco-filozoficznym komplementem? Dobrze mi tak.

Ja. Sądziłem że tytuł cudzoziemca daje mi prawo zapukać czasem i tu i owdzie — to do waszego rozsądku, to do waszéj duszy, to do serca. W téj chwili zapukałem do rozsądku — a dowcip mnie ubódł.

Domino. Czy zdaleka? Z którego departamentu?

Ja. Prawdziwa Paryżanka z ciebie, piękna masko; kto tylko nie z Paryża, ten dla ciebie cudzoziemiec. Ale ja przybywam z zagranicy Francyi — z daleka — z północy.

Domino. A! z północy? Chmary was ztamtąd ciągną. Gdybyście nie byli tyle grzeczni ile jesteście ciekawi nas widzieć, toby Paryż może runął kiedyś jak Rzym pod ciężarem tych napływów nowotnych Gotów.

Ja. Piękna maska jak widzę wybór robi w swéj bibliotece — nie same romanse czyta.

Domino. Powiédz raczéj że ich pożeram. To co z Rzymskiéj historyi pamiętam, winnam dziennikowi mód. Tam się jakoś snadniéj wszystko czyta. Niedawnom się z niego dowiedziała, że gdzieś tam u was mléko sprzedają nie na kwarty, tylko na funty, mrożonemi kawałami. Dreszcz mnie ogarnął na samo wspomnienie! A cóż to musi się dziać z uczuciem? Biédacy! Serca coby tu ogniem tchnęły, muszą tam być letnie, a serca letnie — lodowate.

Ja. Coś rzekła to paradox piękna masko. Szerokości gieograficzne mogą tylko wywiérać wpływy fizyczne nie moralne; dusza nie tutejsza mieszkanka — ziemska atmosfera dla niéj obojętna. U nas może zdrowsze dusze, bo tak nie zużyte. *Np:* Ty sama po coś tu przybyła jeźli wolno wiedziéć?

Domino. Upoić się nowemi wrażeniami.

Ja. Więc w pięknym świecie smaku, poloru i obyczajności, w którym zapewne jaśniejesz—ciasno, nudno ci? i przychodzisz tu między tłum palący ofiary *Pani Cytery* ale nie

téj któréj poetyczna Grecija hołdy składała, tylko téj, którą Rzym zgnuśniały uwielbiał pod imieniem *Wenery Bezwstydliwéj*.

Domino. Katonie z krainy białych niedźwiedzi! wzywam cię do porządku.

Ja. Co w myśli, to i na ustach. Trzymasz się ściśle przywileju zapust — i ja także. Słyszysz prawdę; — fałszywa to nóta dla słuchu twego.

Domino. Co ma znaczyć, żem z porządku wyszła.

Ja. Coś mi się tak zdaje.

Domino. Przygotujże wykrzyknik podziwienia, i nowy ustęp kaznodziejski.

Ja. Słucham!

Domino. Jutro zbaczam o 60 mil od porządku. Lecę szukać wrażeń.

Ja. Masz bliżéj nadobna masko; *Vincennes* za rogatkami.

Domino. I cóż tam?

Ja. Strzelanie do poligonu racami kongrewskiemi.

Domino. Szydź ze mnie dowoli, ale co postanowione, to będzie spełnione.

Ja. I dokąd że tak spiesznie?

Domino. Do miasta Tulle.

Ja. Po co?

Domino. Aby być obecną na ostatnich epizodach processu Pani *Lafarge*.

Ja. A rozumiem! Żeby śledzić elegancką lornetą wszystkie odcienia niewypowiedzialnéj boleści duchowéj na twarzy delikwentki, i przypatrywać się w tém zwierciedle duszy, całemu processowi okropnéj tortury. W długiém tém konaniu, giljotyna to tylko podługowaty znak wykrzyknika rozpaczy!

Domino (spojrzawszy mi szybko w oczy). Ta zgraja co tu gości, upojona szałem, nie domyśla się pewnie o czém rozmawiamy, a ja Paryżanka czystéj krwi, ledwie zawierzyć mogę mym uszom, że słyszę coś podobnego, od jakiegoś tam Skandynawa, czy tam Vizygota, czy.... dopomóż mi.

Ja. Słowianina.

Domino. Niech i tak będzie. Jest to zawsze pokrewieństwo z Lapończykami na *sposób Bretoński.*

Ja. Lubię podobne nieukostwo w Paryżance; to tak powabne, jak piękna kobiéta co zlekka kuleje.

Domino. Grzeczność twoja trochę ułomna, ale inna to kwestija — niedotykajmy jéj. Zamiast karmelków, częstowałeś mnie morałami i to bez ogródki; maska mnie broni, karnawał toleruje, jesteś więc usprawiedliwiony. Teraz słuchaj mnie.

Ja. Goreję z ciekawości.

Domino. Coś mi powiedział — coś mi wytknął, już powiedziane, już wytknięte było gdzieindziéj. Żeśmy spragnione wrażeń, nie przeczę. Żeśmy na złéj drodze, przeczę; przeciwnie — droga zbawienia ściele się przed nami. Co twierdzę — dowiodę. Trzeba ci wiedziéć że serce kobiety, to dusza dzwonu, która udziela dźwięku całéj massie metallu — serce mężczyzny to wahadło zegara. Gdyby niepotrzebne było do wybijania taktu życia, tobyście się obeszli bez niego. Z tak czerstwo uorganizowaném sercem, głowa wasza bezpieczna od wpływów zewnętrznych — zawsze silna, zawsze spokojna. Tam źródło waszéj potęgi — głębiéj téż, zdrowiéj myślicie od nas. Słowa wasze chwytamy, pisma rozrywamy. Bez serca i bez sumienia, wodzowie romantycznéj naszéj literatury, sypią namiejętności w swych książkach, obliczywszy pierwéj matematycznie ich działanie na nasze głowy, serca i.... worki. Jakąście koléj układli dla literatury, w takąśmy wstąpiły — a tu wszędzie podniecenie — wszędzie jakiś ruch wspinania się, że tchu nam nie staje. Wiek upłyniony nie pisał — on się spowiadał. Prawda moralna; błędna lub nie, była odgłosem tajnéj myśli autora. Dziś zaś rzadko kiedy książka jest tłómaczem wewnętrznego przekonania. Piszącemu idzie o czas, co mu tam do wpływu jaki wywrzéć może jego twór. Jeszcze rękopism wilgotny, a już go ciska na pobojowisko spekulacyi

bibliopolijnych, Co tu mówię tycze się wyłącznie romansopisarzy. Na parę lat przed wypadkami Lipcowemi dramat i romans błysnęły nową maską na widowni umysłowéj. Rozległ się okrzyk zachwycenia, i odtąd nuż nas galwanizować swemi wyrobami ze wszech stron. Kto tworzył więcéj, ten zarabiał więcéj — a ponieważ szło o ilość nie o jakość— więc wystrzegali się tworzyć dzieła pokarmne w którychby myśl ogrodzona była z jednéj strony — pokuszeniem filozoficzném, z drugiéj—celem moralnym; natomiast, drobią myśl; ztąd analiza mikroskopijna, ta cudna lampa ciekawości ludzkiéj. Dodajmy do tego powabne podstępy wyobraźni któremi tak zręcznie umieją ci panowie ubarwiać wątek swych powieści, a przytém czarowny haft stylu, giętkość, jędrność jaką nadali nowemu swemu narzeczu, a dziwić się nie będziemy że te napoje które nam udzielają codziennie, bez przerwy, w wielkich dozach, obudziły w nas głęboko zagrzebane pożądliwości duchowe i intellektualne, i uczyniły z nas prawdziwych żarłoków wzruszeń; bo jeżeli w świecie fizycznym wszędzie równowaga obecna, w polocie dusz jéj niéma. Niech cię to więc nie dziwi kiedy w świecie rzeczywistym czatujemy niecierpliwie na chwilę, w których teorye romantyczne nabyte w książkach, praktycznie zastosować możemy. Process pani Lafarge jest właśnie jedną z tych stanowczych wielkich chwil. Ale jeżeli z jednéj strony rzucam przekleństwo na ludzi, którzy ze spokojném biciem serca spowodowali ogromny nieład w naszém życiu duchowém, z drugiéj, przewiduję stopniowe wyzdrowienie cierpiących naszych dusz, nawet w systemacie tych ciągłych napaści, drażnień, podsycań, i żebyś mnie znowu nieoskarżył o paradox, wytłómaczę ci moje twierdzenie w ten sposób: my uczennice oswojone teraz z analizą zaczynamy same analizować; nabyłyśmy przyzwyczajenia wszystko śledzić — a śledzenie umysłowe jest niczém i inném jak długiém szeregiem zapytań czynionych własnemu rozsądkowi i sumieniu. Na co? po co?

dla czego? są to trzy filary na których loika się wznosi. Co nam książki opiéwają — czytamy — ale rachunku żądamy z dążności książek. Jest jeszcze inne spostrzeżenie które tu na swém miejscu będzie. Rzecz się tak ma, że po namiętném używaniu nowych owoców romantycznéj literatury — nastąpiło przesycenie. Maska ironii, którą autorowie nadali swemu światu zmyślonemu, stając się coraz obydniejszą przeraziła nas nakoniec — cofamy się więc przelęknione i oglądamy się w koło szukając wszędzie wizerunków pocieszających; kto wié czy te konieczności nie zwróciły caléj rzeszy żeńskiéj ku światłu Religij — bo kobiéta jest niezaprzeczenie udarowaną instynktem estetyczności moralnéj. Była kiedyś pora w któréj pokochała szatana, ale w głębi swéj duszy jest zawsze przyjaciółką Anioła. Ta potrzeba wrodzona zbliżenia się do prawdy, wskazuje nam drogę do ciągłych zrzeczeń się błędów. Dowód wysokiéj powagi w tym względzie znajdziesz w tworach *Jerzego Sand*, jeżeli zechcesz śledzić stopniowanie moralne myśli, uczuć i przekonań autora.

Domino umilkło, zachwycenie odjęło mi mowę. W téj chwili Paryż, ulica Lepelletier nawet foyer Wielkiéj Opery, zdawały mi się Arkadyą. Nie ma wątpliwości, pomyślałem — pod tą maską tchnie sam Autor *Lelii*, Spostrzeżenia które słyszałem, noszą na sobie koloryt malowniczego wysłowienia, a potém te wielkie, ciemne wschodnie oczy, ta kibić palmowa — ta ręka sławna ze swéj piękności arystokratycznéj. O tak, nie mylnie, to Jerzy Sand! Już byłem w trakcie wystąpienia z jakim szumnym ustępem retora, albo z improwizowaną idyllą, kiedy nagle przystąpił do nas dosyć rubasznie jakiś pięćdziesięcioletni jegomość, którego fizyognomia zdradzała od razu starego weterana wszelkiego rodzaju rozpust zmysłowych. Chociaż twarz jego wyglądała jak powierzchnia dojrzałéj figi — ale nie mało było pretensyi i kokieteryi w téj mumij wystrojonéj artystycznemi rękami mistrzów mody i zbytku. Zdawał mi się być *zbikiem giełdowym*.

— A! to ty Syreno! wrzasnął, poznaję cie po głosie.

— Mój piękny Paryżaninie, dowiédz się że Syrena nigdy nie była koleżanką Satyra.

— Dowcipkujesz Asanna — a więc omyliłem się — przepraszam, dodał zmarszczywszy czoło. Uchylił kapelusza, wykrzywił szydersko usta, i oddalił się.

Stary Satyr wart był chłosty -- ale być stroną i sędzią razem w swéj sprawie — już nie w modzie; — formalizowałby się może o to sąd policyi poprawczéj — a najniezawodniéj straż municypalna. Dość mi tego było żeśmy się go pozbyli. Jużem zaczął na nowo wiązać rozerwany węzeł rozmowy, kiedy dama moja zerwała się raptownie z swego miejsca nie odpowiedziawszy ani słowa, i śpiesznie drobniuchnemi kroki dopędziła starca, uwiesiła mu się u ręki, pogłaskała go pod brodę i w najlepszéj komitywie dłoń w dłoń, ramie przy ramieniu znikli mi w tłumie. A ja wziąłem tę bajaderę karnawałową za Jerzego Sanda?! Zwyczajnie człowiek w prostocie nadwiślańskiego *Pursoniaku* sądził, że wykształcenie umysłowe i nie pospolity rozum, których mi dowody dała ta złotousta nieznajoma, nie mogły być własnością pierwszéj lepszéj awanturnicy z maskowego balu. Czém dłuższe życie tém dłuższy temat do nauczenia. Wreszcie nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Gdyby moje domino nie zostało mi porwane jak Prozerpina przez starego Plutona, tobym zapomniał że bal kipi, wre, ryczy koło mnie jak wulkan. Ale wielki wybuch dopiéro będzie tam, na dole w wielkiéj sali.

Rzekłbyś że życie Paryża ulotni się gwałtownie. Oczywiście za nadto go mają ci młodzi Francuzi. „Precz z oszczędnością! — niech żyje rozrzutność! Dziś ferye dla kłopotów przeszłości!“ Przyszłość nie zrozumiany dla nich hieroglif. Oni ofiary palą tylko Teraźniejszości. Oznajmij dziś téj młodzieży, że jutro ogon jakiéj wędrującéj komety zmiecie z firmamentu naszą gałkę ziemską — to ci odpowiedzą że dosyć czasu jutro z rana o tém pomyśléć. Czara rozkoszy co chwila prze-

pełnia się, trzeba pić póki gorąca — trzeba się upić póki mussuje — a jutro — nicość! To téż piją, upajają się i piją. Trudno cóś schwycić okiem w téj gmatwaninie ludzkiéj. Tysiąc razy trudniéj oddać je mową zwyczajną.

Nie zawadzi wszelako sprobować. Wszak to rzecz umówiona między autorem a czytelnikiem, że ten ostatni wszystko w końcu przebaczy.

Np: czy ujdzie mi bezkarnie okazanie tego młodzika w kostiumie Herkulesa w upudrowanéj peruce w okularach na nosie z sygarem w ustach, w trzewikach i pończochach? Na potężnym jego karku siedzi *konno*.... proszę odgadnąć — kto? O to młoda dziewczyna przebrana za mamkę wiejską z dzieckiem wypchaném u piersi. Herkules dopomina się u wszystkich wielkiéj nagrody *Monthyona* dla mamki swego dziecka, któréj lewa pierś jest własnością niemowlęcia, a prawa ojca mamki, skazanego przez sąd przysięgłych na *dwuletnią głodną śmierć* za wynalazek napoju długiego życia.

— Z czegoś się wy biedacy utrzymujecie? zagadnął ich ktoś.

— Z darcia piérzy odpowiedział Herkules.

Czy spostrzegacie ten ogromny kapelusz stósowany, górujący nad głowami wszystkich? Ot przybliża się — widzicie go? Jest to elegant z czasów rzeczy pospolitéj. Długi, cienki jak szparag — potężne kolczyki w uszach naśladujące doskonale gilijotynę — pończochy zebrowane, potwórnéj wielkości supeł u krawaty i kruciuchny fraczek jasno-granatowy na grzbiecie. Młody ten szarmancki z czasów Robespierra, wesoły jak Żoko — bal rozochocił go do dzieciństwa. Całe legije dziewcząt i chłopców dokuczają mu nieustannie; ale z nim jak z dzieckiem — wszystko znosi, wszystko pozwala i piérwszy ze wszystkiego się śmieje. Przylepiają mu papierki od karmelków do nosa, uszów i twarzy — a on im odpowiada, tnąc łokciowe *entre-chats* jedne po drugich.

— Swywolni Paryżanie! Motylki powabne, kolorowe zachwycające, ubóstwiam was! Ponieważ fizyczność moja przypadła wam do smaku — kochajcie mię więc — nie żenujcie się! Maleńka moja ofiaro, pokłoń się tym damom i kawalerom, dodał przedstawiając gościom pietnastoletniego chłopca, pięknego jak Cherubin, którego kostium przypominał Karolinę *Corday* — i damy nuż mu szczypać policzki, ściskać go, pieścić się.

— Siostrzyczko nieszczęśliwa daj mi buzi! wołały niektóre W tém nadleciał *il Signor Pulcinello* i swym rażącym śmiéchem dopomniał się tegoż samego przywileju.

— Precz z nim! precz z tą brzydotą odzywało się mnóstwo głosów.

— Przepraszam moje panie, jestem piękny i szczęśliwy w miłości jak Don-Żuan.

— Fałsz — fałsz! odezwał się jakiś Pierrot. On się podszył pod karnawał; natura wzbogaciła go prawdziwym garbem, a jegomość przyszedł tu udawać że ma garb wypchany. Żwawo do szpilek moje damy — do szpilek! kłujcie bez litości tego dromadera — a zobaczycie czy wam podziękuje zato.

I w oka mgnieniu swywolne grono mężczyzn - kobiét i kobiét-mężczyzn, rzuciło się na Pulcinella i szpikowanie garbu żwawo szło. Pokazało się jednak że Pierrot dobrze był zainformowany, aliści Pulcinello, nie wytrzymawszy próby ani pół minuty, z sprężystością kota jednym susem czmychnął w tłum, i znikł w korytarzach lóż piérwszego piętra.

I kiedy tak chwytam ułomek po ułomku, nagle splecione i wnet poszarpane sceny, słuch mój rozróżnia w tym odmęcie hucznéj wesołości jakby szczęk..... nie broni, ale odrywających się ust od ust!..... I w istocie tak było. Tuż przy mnie, jakiś oficer od huzarów przykładał pieczęć swych farbowanych wąsów na łabędzią szyję Margrabiny *de Pompadour*.

Dość było hasło dać — a te męzkie *pia desideria* poszły w koło jak po zapalonym łońcie.

Kiedy to się działo szereg spokojnie siedzących domin przypatrywał się tym *saturnaliom* z ciekawością, szepcąc jedno do drugiego.

Aż tu z głównego ogniska balu wyrywa się majtek. Dosyć go było okiem zmierzyć, aby go umieścić w właściwéj jemu płci. Zlustrowawszy zamaskowane towarzystwo, stanął śmiało po środku sali i donośnym dyskantem krzyknął:

— Hola! Municypalni! sierżancie — panie kommissarzu! Denoncjuję wam kontrabandę! Te maski, dodał, wskazując palcem żywe obicia balu, są jedna w drugie, *Królowe Róży*. Do kozy! do kozy! Precz z cnotą! albo niech cło opłaci!

Inny był sposób wysłowienia się majtka — inny mój. Nic łatwiejszego jak oddać w całéj nagości jego apostrofę — ale mogłaby za to spotkać mą książkę sroga kara ostracyzmu. Fakt musiałem opowiedziéć — bo świadczy naprzód, że materyał z którego się składa publiczność balu Wielkiéj Opery, brudny — błotny — a potém że policya zdaje się patrzéć przez palce na tak rażące zgwałcenie praw wszelkiéj obyczajności.

Jeszczem niedokończył tych uwag, kiedy raptowne kołysanie ciżby dało się uczuć w całéj massie publiczności.

— Oto jest! oto jest! Przybył nieporównany nasz figlarz, wykrzyknęło sto głosów.

— Kto? pytałem się zaczepiając wszystkich.

— *Chicard!* odpowiedziano mi.

To przezwisko nie jest mi obce, pomyślałem. Ah! przypominam je sobie, — stało wydrukowane dużemi kapitalikami w programmach balowych Musard'a przy ulicy Vivienne.

Choć czuję mą niedołężność w odbiciu na papiérze téj karykatury w całéj swéj oryginalności, uczynię co będę mógł.

Chicard, jestto typ zupełnie nowotny. Paryż go począł w gorączce karnawałowéj, a Pustota porodziła go śmiejąc się do rozpuku. Gałęzie przemysłu, które się zajmują wydobyciem zysków z pociągów młodzieży paryzkiéj ku żądzom fantastycznym, użytkują z Chicarda, spekulują nim. Jednostka

ta, nie jest *mytem*, jak *Robert-Macaire*, ponieważ jest dotykalną, widoczną. Przed jego zjawieniem, Pustota obywatełka zrodzona w Paryżu, była niezaprzeczenie powabniejszą — ale nigdy tak psotną, śmiałą, bezwstydną jak dzisiaj. Jeżeli kto na świecie ma djabła w ciele, jak mówią, to niezawodnie on go ma. Nigdy podżegacz wesołości tak dziarski, tak niezmordowany nie figlował jeszcze na widowni zapust. On ma dar posunąć wesołość do wściekłości. Puścić szmermel do laboratorjum pirotechnika, to samo co wprowadzić Chicard'a w uśpione grono, któremu konceptu zabrakło w zabawie. Płyn wesołości który wydziela się z tego żyjącego przewodnika elektryczności karnawałowéj, przesięka natury najlimfatyczniejsze, charaktery najposępniejsze. Nie tylko że imie tego przedsiębiercy bachanaljów zapustnych głośne w całéj Europie, ale podziela on nędzną swą sławę z istotą nieporównanéj piękności, nieodstępną towarzyszką jego we wszystkich wyprawach. Bóg udzielił téj kobiecie cudną urodę, a zły duch pobłogosławił jéj związek z Chicard'em. Dziwaczne, jedyne, a zarazem, smutne powołanie człowieka, którego professya oparta na zupełném zapomnieniu godności ludzkiéj. To dowodzi że Paryż w przerwach kiedy nie spekuluje, oddaje się zapamiętale grubemu, surowemu sybarytyzmowi. Co za dziwne przejście od Napoleona do Chicarda! bo i tu i tam ostateczność w sympatjach! Cóż to za zmysł tajemniczy popycha ten naród tak powabny swym dowcipem, ułożeniem, tak żywy i delikatny w uczuciach, tak celujący swą umysłowością, od pokochania namiętnego szczytnéj idei, do najwydatniejszych instynktów zwierzęcych!

Podobna wcielona próbka jak ten Chicard, jeszcze się dotąd nie ukazała u nas na północy; nie znalazłbyś jéj z latarnią Dyogenesa nawet. Zresztą nié ma tam dla niéj miejsca. Wprawdzie tytuł Paryżanina dozwala być trutniem salonowym w naszym kraju — spędzać między nami wygodnie, mile, wesoło, mnogie lata. Paryżanin może u nas piastować

urząd *boniarza* (t. j. bony rodzaju męzkiego) być tyle obeznanym z ortografią i grammatyką co expedytor kopytkowego przy rogatkach, a dla tego wegietować przyjemnie. Wszystkie rupiecie jego naukowe mogą się ograniczać na talencie wycinania sylwetek — a ponieważ ma szczęście być Paryżaninem, na ręku go nosić będą— ale indiwiduum, którego zapas cały składałby się li-tylko z przemysłu Chicard'a — o! takim awanturnikiem wzgardzilibyśmy niezawodnie, wykréślilibyśmy go z kontroll naszéj gościnności; a więc, kłamstwo płatne, i nic więcéj jak kłamstwo, którego żywą formulą jest człowiek, razi, gwałci zasady godności moralnéj, które dzięki Bogu nie przestały być jeszcze podstawą tradycionalnych obyczajów ojców naszych.

W wieczór, w którym po raz piérwszy ujrzałem Chicard'a, miał na sobie hełm z srébrnego papiéru z pawiém piórem pionowo weń wetkniętém — kaftan jasno-zielony z hiszpańskiemi puffami koloru pomarańczowego, ubiór spodni, do kolan, dawnego Neapolitańskiego kroju, trzewiki szamua z ogromnemi różowemi rozetami, zdobiły szerokie i płaskie jego stopy. Na próżno byś harmonii szukał, i w tym ubiorze i w téj twarzy zaokrąglonéj, wypukłéj, jak orzech kokosowy. Szeroka gęba, nos jak pięść, broda czworograniasta, wąs szczeciniasty, zęby jak palissady forteczne, oczy okrągłe pływające pod wysokiém sklepieniem brew, taka mi się wydała fizyognomia tego Kondotierego zapust; — fizyognomia nadzwyczajnie ruchawa, którą podług upodobania kroił na dowcipną, głupowatą, starą, młodą, smutną, wesołą. Diabełki powycinane z czarnéj tafty, muszki, gwiazdki, figurki, pstrociły mu twarz. Ale tu pędzla trzeba a nie pióra, aby ten dziwaczny wizerunek uczynić widzialnym, a i pędzel i pióro nie zdołają oddać tego humoru dijamentowego co udziela wszystkim iskrę po iskrze, promień po promieniu, obietnice szaleństwa i rozpusty Ostatniego Wtorku. Mojém zdaniem nie można wyżéj posunąć zuchwałości w szarzaniu imieniem mężczyzny jak Chicard — nie mo-

żna stanąć na niższym stopniu niesławy niewieściéj jak jego patentowana oblubienica, która objąwszy go po koleżeńsku w pół-pasa, wleciała z nim na salę. Podobało się jéj być zachwycającą tego wieczora, w kostiumie Xięcia de Richelieu, z komedii pod tytułem *Półkownik roku* 1760.

Chicard! Niech żyje Chicard! wołano chórem i pojedyńczo.

— Właśnie po tom przyszedł, odpowiadał wznosząc ręce do góry i rozszerzywszy krok jak Kolos Rodyjski, tak, że postawa ta, była wierném naśladowaniem litery X. Z téj formy przechodził w inną, zmieniał ją, i daléj znów w inną — a potém stanąwszy na pięcie, kręcił się z szybkością bąka co się wyrwał z wyprężonego szpagatu — i śmiéchy suche, urywkowe, potężne wybuchały z jego piersi. Śmiéchy które załechtały by śledzionę Mandaryna Chińskiego podczas uroczystéj audyencyi.

Tylko co odegrał piérwsze wstępy tego dziwacznego prologu — oho!.... już go niéma! już poleciał jak strzała, tańcząc, podskakując, tnąc lansady, strojąc wszystkim figle po drodze; — słowem, sypiąc w koło siebie dzwonki berła Momusowégo pełnémi garściami, pryskając że tak rzeknę, żywém srebrem swego szalonego humoru, na wszystkich co go otaczali — że aż głowa się kręciła, że aż nogi niecierpliwie drżały, że aż zmysły obostrzone czuły potrzebę awanturniczych przygód, choćby nawet municypalni, ci Edylowie zabaw publicznych, mieli się o to oburzyć. Przerznąwszy nakoniec żywy labirynt publiczności, ten prototyp bali maskowych wyleciał z *foyer* na korytarz, a ztamtąd na wielką salę — i hurmem wszyscy za nim!

A tam na sali sławny Musard stał już pod bronią, na wzniesionéj estradzie. Tam w *foyer* była proza — tu dopiéro poezija!

— Strauss i Musard dwie wyłączności — jeden w Wiédniu, drugi w Paryżu. Piérwszy zaostrzył system nerwowy walca — drugi galopady. Musard (ponieważ jedynie nim się

zajmujemy) czarny jak cygan, z spojrzeniem złowieszczém, poważny, zimny, wypełnia swój urząd z obojętnością kata — w tym względzie jest antypodą Chicard'a, choć tego uważać można za sprzymierzeńca myśli antymoralnéj Musard'a.

Rytm jego kontradansów, a zwłaszcza galopad, ma w sobie cóś burzącego, cóś rzutnego — to téż trzeba widziéć wpływ jaki wywiéra na tańczących - bo nietylko że naglące takty jego orkiestry odmładniają ci muszkuły nóg, ale posiada własność nadania nadzwyczajnéj śmiałości w przelotnych zalotach mężczyzn.

Wszelako dla czytelnika, który nie miał nigdy sposobności być świadkiem naocznym balu maskowego Wielkiéj Opery w całym swoim zbytku i w całym ogniu akcij, trzeba żeby się przeniósł myślą do sali Akademii Królewskiéj Muzyki i zajął jako widz miejsce, w jednéj z loż przeciwległéj scenie — a ponieważ mniéj-więcéj rozmiary téj sali są nam już wiadome, łatwo więc będzie temu co to czyta, wyobrazić sobie skład ożywiony obrazu, który zamierzamy wystawić na widok publiczny.

W téj chwili orkiestra już śpiéwa, huczy, wykrzykuje — nie ma kąta tak odległego do któregoby melodyjne jéj wibracije nie doszły.

Więcéj jak sto kadryllów i parę tysięcy osób jedna dziwaczniéj kostiumowana jak druga, są w gorącym ruchu. Już nie słychać rozmów, krzyków ogólnych, i krzyków pojedyńczych, słychać tylko głuche tętnienie nóg *młotkujących* posadzkę — słychać donośny głos orkiestry i wykrzykniki rażące trąbek chromatycznych — słychać wybuchy działowe tułumbasu, spiczaste końcówki *piccoliny* i przerwami ostre fanfary trąby wojskowéj, która rozognia swym taktem piekielną chyżość grup tańczących — bo pod płaszczykiem kontradansu (który naszém zdaniem jest wyrażeniem instynktowém narodowego smaku, nieporównanéj grzeczności i elegancyi) szynkarski *cancan* przywłaszczył sobie jego prawa. Gdzie tylko

kaszkiet municypalny błyszczy, tam *kankanują*, gdzie go nie widać, tam nie powstydzą się nawet wystąpić z tym ohydnym potworem choregraficznym którego *Szahüle'm* przezwali (la Chahut).

Może nie słyszeliście, może nie wiécie, że i my w tych czasach byliśmy zagrożeni wtargnieniem w nasze progi tych brudnych zapustnych kaprysów—gdyż *Szahiut* to kaprys tylko, to minie — to nie wleje się w arterije obyczajowe narodu francuskiego — nie — to nie podobna! Otóż rzecz się tak ma: że na pewnych podrzędnych balikach tu, u nas w Warszawie, zjawił się był wędrownik (pewnie jaki komissant handlowy z ulicy Lepelletier) i chciał przemycić szkaradny towar *Szahiuta* — ale zmysł przyzwoitości ogółu rażony tém wnowieniem, zmarszczył się jak *Czułek* za dotknięciem i odrzucił bezczelne propozycye; — zostaliśmy więc jak dawniéj przy Mazurze. O nie! nie zmieniajmy nic. Niech zapusty monotonnie dla nas płyną jak zwykle — niech pleśń pokryje ten zakątek umysłowy gdzie się wyrabia dowcip nasz — niech będzie ta sama biédota w wymysłach kostiumów—byle tylko pozostała ta sama drażliwość co nam wywołuje rumieniec wstydu na twarz przy zadanym gwałcie obyczajom.

Te zboczenia od głównego przedmiotu, którym się zajmujem, nie wyrugują nam z pamięci obowiązków opowiadacza. Jakoż nie opuściłem mego posterunku w loży wprost sceny i z natężonym wzrokiem śledzę we wszystkich zakrętach całą massę poruszających się żywych lalek na posadce parteru. — I długo, długo tak trwało, i schodziłem kilka razy na dół, by przypatrzéć się z bliska szczegołowém poruszeniom tancerzy, grze ich fizyognomii i zapałowi z jakim się oddają najgorętszém uciechom balu. I tak żarliwie ich połykając zdało mi się że pieczęć królewska władctwa ludzkiego, starła się do szczętu z ich twarzy. Pomyślałem sobie także, iż w tych młodych głowach po cudacku postrojonych, drzemie może nie jeden geniusz, który, jeśli go rozpusta stopniowo nie strawi,

byłby późniéj w stanie dodać nowe prawa, nowe zasady do programmu oświaty społecznéj.

Ale gdzie zbestwienie było najwyrazistsze — to w kole któremu Chicard przewodniczył. Potęgi niebieskie! cóż to za szatan z tego człowieka?! Chyba że ziemia mu wulkanem, a ludzie opanowani ślepotą — bo inaczéj czy mógłby tak piekielnie harcować? spłonąłby ze wstydu wreście gdyby wiedział że tyle ócz nań patrzy. Oko, błyskawica —włosy dębem stoją—głos nie głos, ale ryk—i piana jak w wściekliźnie. O za nadto tego! wygwiżdżą go — wypędzą! Gdzie tam! w dłonie klaszczą, co jest siły!

Tymczasem, na wsi, w domu, kur już kilkakrotnie zapiał—wrzeciona warczą, gospodyni ciasto w dziéży miési, a — ale tu w téj dobie, nie o tém mowa—tu nagle orkiestra ucina wątek swych kadencyj — Musard podaje znak swém hebanowém bertem, i wszystko posłuszne rozdrabia się, i znów się skupia, formuje łańcuch, i staje gotowe do nowéj figury tańca — do galopady przezwanéj *piekielną*.

Natężajcie teraz wzrok, bo Musard ten ciepłomierz żyjący, przeczuł zbliżający się moment, w którym zmysły wzburzone szahiutników, wymagają ostatniego łyku rozkoszy, ostatniego toastu, za zdrowie Ostatniego Wtorku. I oto, hasło już dane — orkiestra ryknęła kilkoma takty piérwszego *kolana*, i żwawo rozwinęła ognistą wstęgę potwórnego galopu!

Za piérwszém pociągnieniem smyczka, wszystko zadrżało, wszystko drgnęło, a łańcuch świéżo rozpłomieniony Szahiutem, rozwinął się lotem błyskawicy—pędzi lawiną, zmiata po drodze obojętnych widzów, kréśli elipsę, gnie się, pęka, spaja, to głową ścigając ogon, to ogonem głowę, i pierś z piersią się styka, a czasem i usta z ustami, i z wnętrzności tego żyjącego łańcucha strzela w górę przerywane okrzyki tryumfu dzikiéj rozkoszy! Kapelusze, czapki, czapeczki, wzlatują pod sufit na znak radości — gęsta kolumna kurzu wznosi się spiralnie ku wiszącym pająkom—sam nawet Musard dotąd obojętny

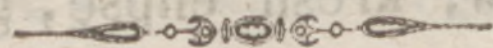
i zimny, z miną tryumfującą, z okiem pałającém, z włosami rozczochranemi, zachęca mową i giestem swą olbrzymią orkiestrę, gdy tymczasem Chicard djabelskiemi swemi skokami, kontorsiami i niepojętym płynem szalonéj wesołości, usiłuje wprowadzić w paroxyzm konwulsyi całe towarzystwo — i coraz szumniéj wspieniony potok harmonii spada na posadzkę, i coraz wydatniéj wije się olbrzymi wąż po zakrętach sali, aż nakoniec jakaś para galopująca potknąwszy się pada — na nią druga, trzecia, dziesiąta, dwudziesta, i w jednéj sekundzie stos ludzi wzniósł się i najeżył się rękami, nogami, głowami, a z ludzkiego tego roju, pryskają głosy, śmiéchy, ryki!

Taki to obraz — żywy, ruchomy obraz piekła, w dzień uroczysty imienin Szatana! Nic mu nie brakuje — nawet połysk ogniowy cynobru ścian — wiekuiste oświetlenie Erebu, wszystko je przypomina!

Obraz wierny — pióro nie wierne — gdzież je umoczę? chyba w ogniu - spłonie!

Smutno patrzéć, smutniéj rozmyślać nad tą piękną świéżą młodzieżą co nierozsądnie sypie kwiaty swéj wiosny w téj jaskini! nie pomnąc że byt nasz ziemski zawieszony na włosku, a ten włosek na ostatniéj literze słowa *Chwila!*

Czy to po raz piérwszy, czy po raz dwudziesty jesteś obecny temu widowisku, zawsze cię przeraża. Zaiste, zdaje się że co chwila ujrzysz na ścianie słowa przeklęstwa uczty Baltazara!



Ale cośmy dopiéro widzieli, to sielanka w porównaniu tego co ujrzymy jeszcze — tylko prosimy z sobą — daleko, daleko za rogatki!

Numerowany mój woźnica przespał się: (szczęśliwy człowiek!) klacz dziarska — bruk na bulwarach nowy; biédne zwiérzę myśli że rusza do stajni—to téż sążnisto kłusuje — a ja sobie tymczasem gruppuję główne perijody drugiego rozdziału moich studjów. Jeszczem nie był skończył w myśli pomiaru metrycznego méj książki, kiedy dorożkarz, z którym latam po Paryżu od południa, zrównawszy się z Bramą Świętego Dyonizego, przeszedł nagle z kłusa w stęp, i zagadnął mię w ten sposób:

— Czy pan nie wstąpi do siebie? (*)

— Po co?

— Przebrać się.

— Dla jakiéj przyczyny?

— Bardzo prostéj. Dla odwiedzin które jegomość chcesz oddać, za nadto *piękny* jesteś.

— Jak to?

— Trzeba wiedziéć jegomości, że publiczność za rogatkami de la *Villete* temperamentu nie bardzo powolnego, a ma tyle edukacyi co dwaj Marcinowie (**) z *Ogrodu Królewskiego*. Zwyczajnie hołota paryzka, lubi równość — jeszcze się jéj braterstwo rzeczy pospolitéj po łbie kręci — a ponieważ po sukni poznaje się człowieka, poznają oni odrazu że Pan nie z ich gniazda. Gdybym powiedział że o téj godzinie są na czczo, tobym skłamał; lękać się więc trzeba, aby tym poczciwcom do głowy nie przyszło krytykować Pana—nie piórem, ale garściami błota, a w najlepszym razie mąki.

Przestroga była jasna — ale ledwo mi uszów dotknęła. Pomyślałem sobie — cóż u licha? przecież to nie Irokezy, tylko Paryżanie.

(*) Z lewego brzegu Sekwany, przeniosłem się na prawy, na ulicę Bourbon-Ville-Neuve.

(**) Znane niedźwiedzie, które przemieszkują w głębokim rowie cembrowanym ciosem, w *Jardin des Plantes*.

— Ruszaj! krzyknąłem.

Woźnica posłuszny, klasnął na klacz — i ulicami, uliczkami, zatyłkami stanęliśmy za rogatką *de la Villette.* — Kto nie zna Paryża niech szuka tego wjazdu na planie w stronie północno-zachodniéj. Tamtędy droga jak wystrzelił, do Senlis. Rogatka *de la Villette* wznosi się u podstawy dość krętego pagórka, najeżonego wysokiemi kamienicami, piętrowemi domkami, dworkami — a wszędzie szynk, kawiarnia, piwnica. Wprost żelaznych krat rogatki, szeroka spadzista ulica przerzyna te zabudowania. Tu właśnie ma miejsce rano o godzinie 6ój, processija pospólstwa w dzień Wstępnéj Środy, które policya wypędza z szynków całego przedmieścia *Belville.* Nazywają to: *la descente de la Courtille*—literalnie—Zejście z *Courtill'*i; taką nazwę nosi pagórek.

— Otóż jesteśmy! odezwał się woźnica, zatrzymując kabryolet.

Czas wielki był po temu — jeszcze pół godzinki a spóźnilibyśmy się — bo pagórek już upstrzony biesiadnikami, jak łąka maku w kwiecie, i ta żyjąca kaskada ludzi, wspieniona najwyuzdańszą rozpustą, zbestwiona pijaństwem, spada z pochyłości góry, rycząc jak stado bydląt, wprowadzone w dobry humor przez zalotny jaki żart swych rogatych matadorów.

Tymczasem policija rączo i żwawo wypędza motłoch, na którym ciężko rozpoznać płeć lub rodzaj — wypędza mówię z Sodom i Gomor w miniaturze, które się wznoszą po obu stronach głównéj ulicy, i coraz gęstszą staje się tłuszcza, i wielkie te *luperkalje* przybiérają wyraz coraz wszeteczniejszy.

Dziwaczny, straszliwy, z niczém nieporównany, nigdzie nie istniejący obraz! Gdyby go skopijować pędzlem, zawsze by zasłoną pokryć wypadało. Skopjować piórem—skala pióro—a co więcéj, lękać się trzeba popełnić świętokradztwo przeciw skromności naszéj mowy. Ten sam obraz we wszystkich jego odcieniach, oddany ulubionėm narzeczem naszych wyższych

sfer (t. j. tém co w Paryżu mówią) zaszczycony byłby niezawodnie sympatycznem pobłażaniem. O! nie dla polskiéj mowy ta *dowolnosć*. I co tu począć? tytuł dzieła obowiązuje nas wchodzić w rozbiór analityczny wszystkiego; prawda, naga, bez zasłony—tak ją wyobrażali starożytnij, tak ją Biblija zrozumiała; okaż ją śmiało — ckliwość wzbudzisz, gniew wywołasz. Gromiąc obyczaje swego wieku, nieśmiertelny Skarga nie przyodziéwał Prawdy w piękne szaty: ale to Skarga — nam zaś zagonowéj szlachcie literackiéj — ani myśléć! Bądź co bądź, arkusz białym pozostać nie może. Siejmy więc słowa, a co zejdzie na téj niwie, wolno krytyce zebrać, i jeśli łaska, zaprosić autora na okrężne.

Tandem — przyczaiwszy się u drzwi sklepu korzennego, objąłem wzrokiem całą tę kolumnę różnobarwnych małp, co się spuszczała leniwo, ociężale, z pochyłości wiadoméj nam ulicy.

Chociaż cała ta massa poruszała się jak chlewna trzoda— ten prosto, ten zygzakiem, ten podskakując, trzymała się jednak kupy. Skala wieku między niemi widoczna; — i ulicznik dwunastoletni, i młodzieniec z puszkiem na brodzte, i wiek dojrzały z piętnem swéj siły fizycznéj, i starość co dobijała részty życia w jednym paroxyzmie rozpusty — wszystko to skrępowane było tym samym węzłem koleżeństwa, nie wyłączając z tego i płci..... chciałem powiedziéć... pięknéj.

Łatwo było rozpoznać stanowisko, jakie szanowne to towarzystwo zajmowało w świecie. Ryczałtem wzięte, należało ono do téj nieszczęsnéj kasty, któréj byt cały, przyszłość, spokojność domowa, hołdują niewolniczo dziennemu zarobkowi małego talara (5 złp.) a jednak ruch pieniędzy u rogatek la *Villétte* gęsty i żwawy. Zapusty pochłonęły tu krocie—to jest, najżyzniejsze soki klassy zarobkowéj. Jutro w wielu gospodarstwach garnek rodzinny nie zakipi przy ogniu, a może i przez cały tydzień. Wszystko poszło na zwierzęce uraczanie samego siebie, na poczęstowanki i kostiumy. Te ostatnie

po większéj części z Rynku *Temple* wzięte (*); drogo one kosztują! — Zapusty są karykaturą zabawy — publiczność zaś która tu uczęszcza, jest najszkaradniejszą karykaturą towarzystwa; można sobie więc wyobrazić jakie plastyczne rezultata wynikają ze starcia tych dwóch ostateczności. To téż trzebaby tu pędzla *Charlet'a* (**) i to po pijanemu, żeby uchwycić wielką larwę karnawałową, wystrojoną podług smaku gości zarogatkowych szynkowni. Humor najdziwaczniejszy, jowialność najohydniejsza, przewodniczyły wyobraźni, kiedy łatając, tworzyła te szaty, co swym krojem, barwą i allegoriją przerażają.

Najoczywiściéj świadczy o tém, o to tamten exemplarz żyjący, którego bermica olbrzymia góruje nad stadem przeżuwających bydląt (ruminantes) udarowanych ludzką twarzą. Ktoby sądził że grenadyer — ani myśléć! — dzikić to człowiek, dziki, z jakiejś wyspy podrównikowéj. Trykoty koloru ceglastego — od szyi do pięt *tatuowane* w esy, floresy, w cudaki, w djabły, diablątka, i tysiące dziwactw; sam zaś pijanuteńki — trzyma królika (nie wiem czy pieczonego czy surowego) pokrytego skórą — tnie go zębami — szarpie mięso w kawalki, rycząc jak buhaj, i z wściekłością zajada.

Daléj, cały w susach i skoczkach z mandaliną w ręku jakiś pielgrzym — rewerenda podkasana, ustrojony w czepek i kwiaty, a na czepku, kapelusz ostrokręgowy, upiększony mosiężnym obrazkiem Madony, jak u zbójcy w Abruzzach. Jedną ręką brzęczy po mandolinie, drugą błogosławi obecnych — a przed nim wybrykując jak koza, tańczy poczwara płci żeńskiéj, stara, z podbitém okiem, zbryzgana błotem, w upudrowanéj peruce, w grubéj żałobie. Suknia na rogówkach, kołpak śpiczasty czarnoxiężnika z wycinanemi poczwa-

---

(*) Nasz Pociejów.

(**) Dowcipny i pełen talentu rysownik i karykaturzysta.

rami piekielnemi z srébrnego papiéru i ogromnym wachlarzem w ręku, ubarwionym godłami, przed któremi starożytny Egypt padłby z czcią na kolana.

Daléj, machając rękoma jak telegraf, a nogami kreśląc literę M, bo mu je wódka sparaliżowała—posuwa się dziwna figura. Twarz męzka, bo ma brodę jak saper, chudy jak szkielet, wysoki jak uschnięta jodła, ubiór pasterski z krajobrazu *Watteau*. Talja, broda i pierś sztuczne. Wieniec z białego mirtu, bukiet z kwiatów pomarańczowych. Prowadzi go do ślubu krótka, gruba, tłusta z nosem kameryzowanym, przebrana baba za pasterza. Gdyby wolno było nieboszczykowi Marmontel spojrzéć okiem ciekawém na ten świat — dostałby śmiertelnych spazmów, widząc tę bezecną parodiję swéj *Anetki i Lubina*—a u tego Lubina głos Stentora i nikt z obecnych nie wierzy w jego płeć — ztąd sprzeczka, i massa cała z wrzaskiem otoczyła tych przedstawiaczów plugawéj sielanki brukowéj—i głosy chrypliwe pomieszane z śmiéchem piorunującym głupowatym, w wyrazach, którym słowniki wszystkich narodów odmówiły w szpaltach swoich kątka gościnności—domagały się o dowody. Bóg wié do jakiego stopnia bezczelności doszłaby ta scena w swéj haniebnéj żarliwości, gdyby brygadijer na czele kilku żołnierzy municypalnych, nie położył końca swojém energiczném *veto*, zwierzęcym zamiarom pijanego motłochu.

Gdy te odrywkowe wykrzywiania miały miejsce, szynki, sale balowe i różnéj nazwy jaskinie zepsucia, buchają gromadami na bruk, różnego gatunku i kształtu winem i rozpustą rozognionych zbiegów z kalendarza erotycznego *Przemian* Owidiusza. Ulica staje się coraz ciaśniejszą—hałas coraz groźniejszy—bo któż zaręczy że ten stek pospólstwa rozjuszonego, bez grosza przy duszy, bez promyka sumienia w duszy, nie rzuci się na okoliczne domostwa i nie zakończy téj okropnéj stypy karnawałowéj, rabunkiem, gwałtem, podpalaniem?!

Na dworze zimno — na ulicy ciepło — nie wiem od czego—chyba od zgęszczonéj atmosfery alkoholicznemi wyziewy tysiącznych paszczy świéżo pałających, z drzwi i okien szynków, gdzie szalone libacye dopiéro co się skończyły. Widzę wszędzie żarty niedźwiedzi, umizgi kozłów — słyszę pieśni ulicznych tegoczesnych *Pirronów* i monosyllabiczne okropne narzecze złodziei (argot).

Na potężnych barkach niektórych silnych tragarzy, siedzą młode dziéwczęta pijąc zdrowie Ostatniegu Wtorku, i dzbanki, kubki, butelki, szklanki lecą w górę, a po bokach ulicy w błocie rynsztoków, tarzają się do bezwładności pijani goście — rycząc, sprzeciwiają się sierżantom miejskim co ich chcą uprzątnąć, z uporem wieprzów, których rzeźnik prowadzi do szlachtuzu. Ale gdy w taki sposób straż policyjna w jednéj stronie jest zaprzątniona — w drugiéj, powstaje kłótnia, przechodzi niebawem w utarczkę, i nakoniec w okropną zabijatykę. W oka-mgnieniu spostrzegam kilka twarzy oblanych krwią, kilka podbitych oczów, spłaszczonych nosów..... Ha! otóż jednego prowadzą z szkaradnie rozciętą wargą. Nie nóż ją rozpłatał — tylko ząb! Broń to zwyczajna pospólstwa Paryzkiego w pojedynkach podobnego rodzaju — ale, *ultima ratio* jest zwykle nóż. Autentyczną skazówką tych bezprawiów szynkowych jest *Gazeta Sądowa* — a co numer prawie, to krwawa przygoda. Niedawnemi czasy zrodził się i dojrzał niestety! jakiś tajemniczy, burzliwy puls w konstytucyi moralnéj Ludu paryzkiego, który za najmniejszém dotknięciem passyi, budzi się, drga, jątrzy się, uzbraja rękę — a ta, razi na oślep. Przyczyny tego nowotnego defektu w temperamencie nieokrzesanéj ludności Paryża, śledzić tu nie będziemy— może w późniejszych rozdziałach—jak wypadnie. Teraz mi nie do tego, bo woźnica pono miał słuszność. Niebezpieczeństwo zaczyna mi grozić—przeczuwam go. Jeden spojrzał mi w oczy złowieszczo, drugi groźnie — trzeci przystąpił bez ceremonij,

uchwycił za rękę i zapalił sobie sygaro u mego sygara. Czas pono wielki zatrąbić retyradę.

Nad głowami spuszczającéj się tłuszczy, spostrzegam co chwila białe obłoczki coś na kształt *spyszek* z panewki broni palnéj. Ani wątpić, jestto parodija Środy Popielcowéj. Zgraja grzeszników śmiejąc się do rozpuku, obsypuje się na przemiany, to popiołem, to mąką. Uliczniki, ten prawdziwy chwast bruku paryzkiego, są najżarliwsi w téj ostatniéj pustocie. Właśnie teraz kiedy to opowiadam, otoczyli pyszny kabryolet zaprzężony cudnéj piękności angielskim koniem, w którym stoi bogato liberijowany żokiéj, obok modnie ubranego mężczyzny; hołota sypie na nich batalionowy ogień mąki i popiołu. Ale właściciel kabryoletu odważny jak Ajax, smaga ich krzyżowemi razy swego bicza. Podziwiałem jego śmiałość i zabierałem się właśnie do odwrotu — kiedy w-tém ktoś wrzasnął.

— Elegant bulwarowy! hurra!

I nie wiem zkąd, co, i jak — w oka mgnieniu dostałem prosto w twarz, całą salwę mąki. Gdybym się nie był zagapił, umknąłbym szczęśliwie—ale ciekawość — ciekawość ludzka — ta mnie zgubiła! — Szparkom zmykał — ale com oberwał — tom oberwał, dużo mąki — sporo popiołu, i trochę błota. Biały jak młynarz, centkowany jak lampart, wpadłem do kabryoletu, i czwałem za rogatki.

Kurcyusz wskoczył do smrodliwéj jamy aby ocalić Rzym od morowego powietrza: poświęcenie to rozumiem; ale po com ja się wybrał na tę wyprawę?..... Oto w zamiarze sprawienia rozrywki (i to jeszcze kwestija) małéj frakcyi czytających Warszawian, co na własne ryzyko ima się myśli, wrażeń, spostrzeżeń, jakiegoś tam *turysty*, który dotąd nie otrzymał jeszcze chrztu w piśmiennictwie polskiém. Czytelnik, wierzyciel — autor dłużnik – a więc, niżeli powrócę do siebie na ulicę Bourbon Ville-Neuve Ner 51, uiszczę się z długu.

Ukazałem wam w przelocie zbytkowy kabryolet, żokieja w sutéj liberii, i rumaka wysokiéj ceny, i właściciela tylu py-

snych sprzętów zbytku. Był to słynny z swego bogactwa lord S.... Sypie często złoto między pospólstwo — ale i kułaki — *boxer* z niego zawołany. Miéwa częste sprzeczki brukowe z Ludem, ale zawsze wychodzi z nich zwycięsko — bo co nie zwalczy złotem, to zwalczy kułakiem.

— A co, nie mówiłem panu! ozwał się dorożkarz jakieśmy tylko rogatkę przejechali.

I w tonie, z jakim wyrzekł te słowa, przebijało to wewnętrzne zadowolenie bliźniego, nad cudzém nieszczęściem, zwłaszcza kiedy je nam ten bliźni przepowiedział. Natura ludzka w swych odcieniach tak miła!

— Jeszcze dziś, to nic, mówił daléj dorożkarż, bo jakoś Chicard nam chybił.

— Albo on tu bywa?

— Regularnie. Oj Panie — co tam w ten czas za Sodoma, to choć ogień podłóż i wszystkich spal.

Miał słuszność woźnica w tém *auto-da fé* nie byłoby grzéchu.

W pośpiechu zmykania z pola bitwy, zapomniałem wytknąć tu jednę okoliczność, którą wcielam naprzód jako dziwaczny kontrast, a potém jako chrześcijańską przestrogę kogo się ta tyczyć może.

Na szczycie ulicy, w któréj skonał Ostatni Wtorek w potwórnych konwulsijach wielkiéj choroby, wznoszą się kształtne domki z zielonemi żaluzjami, Na szyldach porozwieszanych od frontu, świécą się następujące napisy:

Zakład wyższy wychowania młodych Panien. Pani N. O.

PENSYA PŁCI MĘZKIÉJ PANA R. S.

Ten fakt nie potrzebuje dalszych komentarzy. Spodziewam się, że matka która to czyta, nie umieści swéj córki w wyższych zakładach edukacyjnych, położonych za rogatkami *de la Villette.*